# PRZYGODY JMĆPANA FORTUNATA GOŁOGOLSKIEGO.

(Szkic Leona Kunickiego).

Pan Fortunat w majątku swym, Pustodołach, smutne, chociaż niemonotonne prowadził życie; niemonotonne, bo przeplatane ciągle co raz nowemi, z dnia na dzień nadchodzącemi kłopotami. W gospodarce coraz nowych doznawał zawodów, ucierać się musiał z coraz nowemi, a licznemi wierzycielami, że już nie wspomnę owych drobnych, a na każdym prawie kroku napotykanych, przeciwności. Chcąc zostawić potomności obraz niefortunnéj swéj doli, umyślił pisać pamiętnik, w którym miało być wierne odbicie codziennych jego trosk i dolegliwości.

Pamiętnik ów, był mniéj więcéj następującéj treści:

Pustodoły, d. 12 września:



zawsze Gołogolskim wiatr w oczy.

Jak trafném jest tradycyjne, a odwieczne o Gołogolskich zdanie, że im zawsze wiatr w oczy, najlepszy miałem dowód, jadąc wczoraj do sąsiada.

Tam jadąc, wiatr był wschodnio-południowy z deszczem, który mnie smagał niemiłosiernie w same oczy, przez co byłem zmuszony, najrozmaitsze twarzą wyrabiać grymasy; wracając we dwie godziny, myślałem, że go będę miał z tyłu, tymczasem jak na to, zmienił się na północno zachodni i nie tylko deszczem, ale krupkami smagał mnie, jakby śrutem w same oczy!...

Dnia 15 września.

Wczoraj wracając z lasu, nie wiedzieć jakim sposobem, na równiuteńkiéj drodze, wywróciłem się z bryczką i potłukłem. Fortunatem mnie jak na śmiech nazwano! czemu mi nie dano nazwy *Desperata*, lub coś podobnego?!

Dnia 20 września.

Nie raz już przyznawałem prawdę porównaniu dłużnika unikającego wierzycieli, do zająca gnanego smyczą chartów na polu. Biedny zajączek, wypłoszony z kotliny, stuliwszy uszy, ucieka jak piłka, charty (wierzyciele) gnają za nim, dają kilka obrotów w prawo i lewo, jeśli się wymknie, to jego szczęście, ale go najczęściéj dognają i wówczas biada mu! Coś podobnego było ze mną niedawno w Lublinie.

Wyszedłszy z hotelu na Krakowskie-Przedmieście, ujrzałem zdala dwóch zawziętych moich wierzycieli. Skoczyłem więc w bok, lecz zauważyłem, że mnie spostrzegli i że ruszyli za mną. Tu więc rozpoczęła się gonitwa. Ja stuliwszy uszy zmykam, oni za mną, ja w prawo, oni za mną, potém rzucam się

w lewo i oni w lewo, wreszcie wpadam w boczną uliczkę, oglądam się, jeden leci za mną, drugiego nie widać, wypadam na plac, a tu drugi, dowcipny łotr zalatuje mi z przodu i *cap* mnie we dwa ognie. Nie było rady, złapany, zmęczony, ledwie dysząc, rzucony im zostałem na pastwę!!....

Dnia 22 września.

Trzeba także szczęścia: wczoraj sprzedałem 50 korcy pszenicy po 4 ruble, dziś dawali mi bez targu złp. 30.

D. 25 września.

Miałem po co jechać do Słomianki, do tego kutwy Kacpra, zmokłem, wiatr był w oczy tam i na powrót rozumie się, napracowałem się ogromnie nad tym kutwą, ażeby mi pożyczył pieniędzy i nic nie mogłem wymęczyć.

D. 1 października.

Czyście państwo słyszeli kiedy, ażeby w jednéj puli po groszu, przegrać cztery tysiące punktów z okładem? Tymczasem tak było ze mną wczoraj u sędziego. A! podła karta, z końca świata rodem, jak się uparła tak ani weź. Po części dobrze mi tak, chcieli grać po pół grosza, ja się uparłem po groszu, bo chciałem gwałtem wygrać, że kuso było w kieszeni. Już to od dawna uważam, że mnie karta *szykanuje*. Trzeba się będzie zarzec grać, na czas jakiś.

D. 2 października.

Dobre to przysłowie, że gdzie cienko tam się rwie; kupiłem sobie porządną algierkę, co się nazywa; szelmy szczury, tak mi ją pocięły, że na nic...

I tak daléj, w podobny sposób prowadził ów dziennik już od kilku miesięcy, a prawie na dzień każdy, było coś nowego do zanotowania.

Dnia tego w którym przygodę jego opisywać mamy, pan Fortunat, od samego rana krzątał się około gospodarstwa, a zaglądając we wszystkie kąty, łajał, fukał i w najgorszym był humorze, bo wszędzie znajdował nie tak jak być powinno. Nadto niepokój go trapił, przeczucie jakieś fatalne, miał nawet sen niedobry téj nocy. Przyczyną tego wszystkiego było, że niedawno dostał nakaz komorniczy od niejakiego Sękowskiego, wierzyciela z daleka, który mu już od dawna groził i którego pan Fortunat obawiał się niepospolicie. Spodziewał się więc lada chwila, albo komornika, albo samego Sękowskiego *in persona*, i głowę miał tém ciągle nabitą. To też każdy turkot na dziedzińcu nabawiał go dreszczem, a imaginacja podsycana, dawała mu już kilkakrotnie widzieć zajeżdżającego wierzyciela.

Przed wieczorem, wracając ze stodół w szlafroku i długich butach, bo nie miał czasu przebrać się, ujrzał z daleka na grobli bryczkę parokonną i dwie osób siedzących na niéj.— Krew uderzyła mu do głowy, przypatrzył się lepiéj i zawołał:

— Ot tobie masz! ani chybi, to Sękowski!

Jeszcze lepiéj wzrok wytężył i ugruntował się niestety! w przekonaniu, że to bez zawodu ów straszny wierzyciel; nie dość na tem, ale w drugiéj osobie siedzącéj obok, poznał komornika w czapce krojem mundurowym, z przerażeniem więc wyszeptał.

— Nie ma najmniejszego gadania to oni!

I gdy jeszcze bryczka była dość daleko i powoli się posuwała po błotnistéj grobli, gdy więc miał jeszcze trochę czasu przed sobą, pobiegł cwałem ku dworowi, wołając gwałtownie na Grzesia i szafarkę.

Wybiegł zaspany i zasmolony, z rozczuchranym włosem i wytartym spencerku Grześ, wybiegła z czepcem na bakier, z zatabaczonym nosem stara szafarka i z przerażeniem patrzyli na niepokój malujący się w całéj postaci swojego pana.

— Posłuchajcie no!— mówił on prędko— jak tu przyjedzie dwóch panów, co tam już są na grobli, to powiedzieć, że mnie nie ma.... powiedzieć, że pan wyjechał do Lublina i nie wróci aż za tydzień.... to sobie pojadą.... wszystkim ludziom zapowiedzieć... ażeby tak samo gadali... rozumiecie? a ja będę tymczasem w lamusiku... No! rozumiecie?...

— Rozumiemy — odpowiedzieli sługi.

A pan Fortunat spojrzawszy raz jeszcze na drogę, gdy już bryczka do kołowrotu dojeżdżała, czmychnął kłusem do starego lamusa opodal od dworka stojącego i tam się ukrył.

Rzeczywiście dwóch mężczyzn buńczucznie zajechało przed ganek, obaj młodzi. Jeden z nich miał czapkę krojem mundurowym.

Grześ i szafarka stali na ganku.

— Pan jest?— zapytali.

— Nie ma— odpowiedziała szafarka.

— A gdzie?

— Pojechał do Lublina i nie wróci aż za tydzień.

Goście zrobili miny nieukontentowane i jeden z nich rzekł:

— A! tyle drogi zrobić i napróżno! następnie zaczęli się z sobą naradzać po cichu nie wysiadając, wreszcie cywilny powstając rzekł głośniéj:

— Niepodobna, wysiądźmy i rozkurczmy się, kości mnie djabelnie bolą, po tych tu drogach fatalnych.

To mówiąc wysiedli i pomimo że we drzwiach wchodowych stanęli szafarka i Grześ, jak gdyby bronili wstępu, weszli do sieni, a następnie do pokojów.

Słudzy niechętnie weszli za niemi.

— Chociaż pana nie ma— rzekł cywilny, kładąc czapkę na stole, jednakże my zdaleka, chwilkę zabawiemy i wypoczniemy, konie popaść trzeba (zwracając się do towarzysza mówił) boć to nie nasze, a wiesz jak Ambroży ich pieści.

To mówiąc wyszedł na ganek i zawołał: Marcinie odjedź do stajni, i popaś konie, kup na wsi owsa i siana, jeśli tu nie dadzą.

Furman odjechał, a cywilny (że go tak zwać będziemy dla odróżnienia od drugiego, który miał czapkę mundurową), wrócił do pokoju i zaczął:

— Jesteśmy kapitalnie głodni, niemożnaby tu było czego dostać?

— Wszystko pan pozamykał — ozwała się szafarka.

— Hm! to smutno.

I zaczęli się przechadzać po izdebkach i rozmawiać coś pół głosem.

Szafarka i Grześ widząc, że się ich tak prędko nie pozbędą, pobiegli do lamusa.

Pan Fortunat wyglądając przez szparę, oczekiwał na nich niecierpliwie.

— A co, kto to?

— Jacyś panowie nieznajomi, ale konie z Wygnanki i Marcin.

— A! to szelma Ambroży, koni im pożyczył, jak wyglądają?

— Jeden z wąsami, wysoki.

— Kto, proszę pana konie?

— Et głupiaś, oni, ci panowie; jeden z wąsami tak?

— Tak!

— Drugi urzędnik w mundurze?

— Tak proszę pana!

— A no to oni... no i cóż jadą zaraz?

— Gdzie tam, konie popasą, chcieli co jeść.

— Powiedzieć, że wszystko pozamykane, to prędzéj sobie pojadą.

— Ja też tak i powiedziałam.

— Idźcież tam do dworu i pilnujcie, i niech tu jedno albo drugie znowu niedługo przyjdzie i tu mnie zda rapport.

Szafarka i Grześ znów weszli do pokoju.

Goście zapaliwszy cygara, przechadzali się ciągle rozmawiając pół głosem. Cywilny widocznie od towarzysza śmielszy, ujrzawszy sługi, zwrócił się do nich z zapytaniem.

— Więc nic nie można tu u was jeść dostać?

— Nie proszę pana, wszystko zamknięte— znów odrzekła szafarka.

— Głodni jesteśmy szalenie....

— A i cóż ja poradzę....

— Ha! kiedy tak, to weźmy się do roboty panie komissarzu, bierzmy ich do protokułu.... zwołać potrzeba świadków.... Nie odchodźcie, bo będziecie zaraz stawieni do protokółu, i mówiąc to tonem poważnym, nasadził lornetkę i podsunął papier, pióro i kałamarz towarzyszowi, który również officjalną przybrawszy minę, zasiadał do stolika, niby zabierając się do czynności.

Stara szafarka niezmiernie się bała wszelkich takich formalności, więc słysząc to i widząc te ich przybory, aż pobladła i zaczęła się jąkać.

— A i cóż ja biedna kobieta temu winna... ale zresztą.... możeby się przecież tak i coś znalazło... na folwarku do jedzenia.

— A cóż jest?— zapytał cywilny.

— Są kartofle, mléko...

— E! facecje... bierzmy ich do protokułu.

— Jest... indyk na zimno... to może odegrzać.

— A to rozumiem... i cóż więcéj?... chléb, masło jest?

— Znalazłoby się.

— No to dobrze... a herbata?

— Tego to, nie ma, żeby dom cały zapalić . . .

— Hm! tego nie ma... wiesz panie komissarzu, że zdaje się, że się bez protokółu nie obejdzie...

— To wreszcie może pożyczę... u pachciarza, on miewa *arbatę* i cukier.... znów wybąkała przerażona.

— A no to dobrze, prosimy o to wszystko i o herbatę, ale zaraz, bo inaczéj protokół będzie spisany.

Szafarka jeszcze drżąca cała, otworzyła szafę kredensową i wyjęła indyka, chléb i masło.

Goście mrugnęli na siebie.

Szafarka się krzątała, Grześ osłupiały protokółem stał z otwartą gębą, aż go stara silnym kułakiem z tego osłupienia wyprowadziła, mówiąc stłumionym głosem.

— Samowar nastawiaj, duchem! bo jeszcze gotowo być tu nieszczęście...

Grześ rozbudzony, zaczął na migi jéj coś pokazywać, zapewne dawał do zrozumienia, że do pana iść trzeba, ona zrozumiała te migi i zniecierpliwiona ręką kiwała, ażeby dał pokój i podreptała do lamusa.

Pan Fortunat z okiem wlepioném w szparę niecierpliwił się tak długiem nieukazywaniem się sług. Już mu się i jeść chciało, bo obiad zjadł wczesny i umyślnie na wieczerzę kazał schować indyka na zimno, na którego w owéj chwili miał ogromny apetyt.

— A żeby was jasności!— mówił spluwając w gniewie, gdy szafarka jeszcze nie zupełnie ochłonąwszy z przerażenia protokółem, stanęła przed nim.

— Cóż tak się tam guzdrzecie... no cóż jadą czy nie?

— Et gdzie tam proszę pana; chyba jeszcze nie prędko... chcieli jakieś protokóła spi-

sywać, jakem powiedziała, że jeść nie ma co, bo wszystko pozamykano.

— No więc cóż?

— A cóż, musiałam dać indyka....

— Ot tobie masz! a bodaj na was jasności!... umyślnie go schowałem na wieczór.... no proszę!

— Herbaty jeszcze chcą...

— Mazgaje jesteście, po co było dawać?

— A kiedy protokół chcieli z nas spisywać....

— Jaki protokół? głupia stara... nie wiedzieć co.... zresztą bodaj ich djabli wzięli, dawać im tam co chcą, aby prędzéj sobie pojechali.

— To téż Grześ samowar nastawia.

— No to ruszaj, a przychodzić mi tu niedługo z rapportem, może przecież ich już raz prędko djabli wezmą.

Gdy szafarka wróciła do dworu, niby z herbatą i cukrem u pachciarza pożyczonym, goście już smacznie zajadali rozmawiając z sobą półgłosem.

Szafarka i Grześ, krzątali się energicznie spoglądając na przybyłych z przestrachem, czy im się znów nie zamarzy ów straszny protokół, i po herbacie oczekiwali z upragnieniem owéj chwili, w któréj zabierać się będą do wyjazdu.

Ale nieszczęście mieć chciało, że naszła chmura z deszczem i wichrem i wieczór się zbliżał, zmrok zaczął zapadać.

Gdy deszcz silnie zaczął uderzać w szyby, a słudzy z niepokojem stali, wyczekując co daléj będzie, cywilny poszedł do okna, zajrzał do zegarka i rzekł:

— A wiesz komissarzu, że czas okropny, godzina siódma, niepodobna jest jechać.

— Rób jak ci się podoba, ja się zgadzam na wszystko,— odrzekł wyciągając się towarzysz.

— Jeszcze tu drogi fatalne... i pomyślawszy chwilkę, zaczął coś półgłosem mówić z mundurowym, a następnie odwróciwszy się do sług rzekł:

— Na taki czas trudno jechać, będziemy prosić was o gościnność na nocleg.

Szafarka z zakłopotaniem zawahała się i wybąkała:

— A kiedy proszę pana, pościeli nie ma....

— E! to fraszka, byle nam jakich dwie poduszek, nakryjem się burkami... ot tu sofki wygodne.

— Poduszek nie mam, to najgorzéj.

— Nie ma?... hm... wiesz co komissarzu, zdaje mi się, że my tu bez protokółu niewyjedziem.

— Szafarka na te straszne słowa zadrżała i zaczęła:

— Zresztą... możeby się i znalazła jaka poduszczyna, trzeba mnie pójść i poszukać.

— A no, tak to dobrze, więc prosimy.

Słudzy widocznie pospuszczali nosy. Szafarka podreptała na folwark, Grześ pobiegł do lamusa.

Pan Fortunat drżąc od zimna. skulony we dwoje, siedział na kupie przędziwa.

— A cóż jadą?—rzekł powstając, gdy Grześ z jakąś miną złowrogą stanął przed nim.

— Et gdzie tam, proszę jegomości, nocować będą.

— Ot tobie masz! ażeby was jasności... zawołał i zadumał się mocno zafrasowany.

— Słuchaj no gapiu,— rzekł po namyśle— ale ty tego nie potrafisz, wołaj mi szafarki i sam z nią przychodź.

Szafarka i Grześ wrócili niebawem.

Gdy szafarka opowiedziała szczegółowo, jak dla deszczu nie chcieli pojechać i jak się znów certowali o poduszki strasząc protokółem, pan Fortunat klnąc i spluwając, rzekł uroczyście gdy skończyła.

— No, to tak zrobić. Zamknąć mój pokój na klucz i klucz mnie przynieść, bo ja tu jak pies nocować nie myślę, rozumiesz? a potém okno otworzyć w moim pokoju, to ja tam oknem wejdę, a tym panom posłać, ale w trzecim pokoju, żeby nie blisko, rozumiesz?

— Rozumiem proszę pana, ale *trza* chyba wprzód okno otworzyć, a potem drzwi zamknąć na klucz, bo jakże tam wejść, kiedy jeden wchód tylko — zrobiła słuszną uwagę szafarka.

— A! prawda, no to tak, a jak się położą spać, to zaraz mnie dawać znać, no! i przynieście-że mi tu co jeść tymczasem, bom głodny jak pies. Indyka nie ma, no proszę! to chleba, masła, wódki, herbaty szklankę, bo zimno jak w psiarni, ażeby was jasności wszystkich razem.... a teraz marsz! duchem...

Goście od początku siedzieli ciągle w pokoju przyległym sypialni pana Fortunata. Szafarka weszła do sypialni, okno otworzyła i wychodząc drzwi na klucz zamknęła, chowając klucz do kieszeni.

— To pewnie pokój sypialny, albo kancellarja pana — ozwał się cywilny z uśmiechem. Zamykacie go na klucz przed nami, bo się boicie żebyśmy co nie zwędzili, to tam pieniędzy dużo być musi?

E! nie, z przymuszonym uśmiechem odrzekła, tego to u nas nie bywa. i nie przed panami zamykam, tylko, że jak pana nie ma, to przykazuje zawsze żeby zamykać, żeby mu tam papierów kto nie poprzewracał.

Gdy według instrukcji pana Fortunata, zaczęto słać gościom w trzecim pokoju, przybyli objawili życzenie, aby im na sofkach w tymże samym posłać pokoju. Nie pomogły wymawiania się szafarki i zachwalania, że tam będzie wygodniéj.

Groźba protokółu znów została użytą i posłać im musiano tak jak chcieli.

Grześ zaraz pobiegł z doniesieniem, że goście koniecznie kazali sobie posłać obok pokoju pana Fortunata.

— Ot tobie masz! zawołał i dodał trzeba się będzie cicho sprawiać włażąc przez okno do pokoju...

Szafarka tymczasem przyniosła herbatę, wódkę, chléb i masło i pan Fortunat, wyrzekając i klnąc, zabrał się do jadła z apetytem.

Gdy się już goście pokładli i świecę zagasili, a szafarka i Grześ dali znać panu, że już przecież udali sie na spoczynek, pan Fortunat po cichu i ostrożnie poszedł do otwartego okna, wgramolił się z trudnością, bo było dość wysoko; jednakże zziębnięty i mając ręce zmoczone deszczem który ciągle padał, gdy już miał wysiąść z futryny na pokój, straciwszy równowagę, powalił się jak długi na podłogę z łoskotem i nie dość na tém, ale padając potrącił o stolik z lampką i lichtarzem i wszystko na ziemię wywrócił.

Na łoskot ów niezwykły zerwali się goście, i cywilny rzekł:

— Słyszysz! tam się ktoś dobija, okradają go, wstawajmy... biegaj na dwór, pobudź sługi, a ja tu drzwi wysadzę. I ubrawszy się na prędce, gdy mundurowy, wybiegł wołając złodzieje! cywilny mocnem uderzeniem drzwi stare wysadził i wpadł do pokoju, w którym było ciemno, i pod słabe światło okna otwartego widać było kogoś co znać usiłował znów oknem uciekać.

— Łapaj, trzymaj złodzieja! zawołał cywilny i silnie uchwycił za ramię biednego Fortunata, gdy drugi, już stał za oknem i chwycił go za nogę.

Pan Fortunat zaczął bełkotać.

— To nie złodzieje.... dajcie pokój... to ja Fortunat.....

Szafarka, Grześ i inni domownicy wpadli w téj chwili za światłem i przedstawiła im się scena następująca:

Pan Fortunat siedział na futrynie okiennéj jak na koniu, z jednéj strony, trzymał go za kołnierz cywilny— ode dworu, za nogę mundurowy.

W jednéj chwili goście z przerażenia, przeszli w śmiech głośny.

Pan Fortunat udawał także, że mu się śmiać chce, gdy w obu gościach, zamiast Sękowskiego i komornika, poznał dwóch znajomych z Warszawy, Gucia i Kazia studenta szkoły głównéj, którzy bawiąc w tych stronach pragnęli go odwiedzić.

I cała rzecz wyjaśniła się. Młodzi nie mogli się utulić długi czas w śmiechu, pan Fortunat przyznał się na w pół wesoło na w pół kwaśno, że chcąc uniknąć wizyty wierzyciela, którego się spodziewał, tak niefortunnie i nie loicznie postąpił, a nazajutrz do jego pamiętnika znów przybył fakt świadczący o przeciwnościach, które go na każdym spotykały kroku.

# IGŁA I PIÓRO

(POWIASTKA).

napisał **Władysław S.....**

(Dokończenie).

Mimo téj ostateczności pana Pawła, Maryni dosyć byłoby rzucić okiem na kłódkę zdrajczynię, aby się jego obecności domyśléć. Nie spojrzała jednakże na drzwi, tylko w okienko, gdyż była pewną, że gdyby sąsiad był w domu czatowałby na jéj przejście, jeżeli nie w sieni, to po za szybą. Tym sposobem przekonana, że pan Paweł jeszcze nie przyszedł, Marynia poszła do kapitanowéj.

— No, teraz już się kryć nie ma co, już się niczego nie domyśli,—rzekł do siebie nasz bohater, gdy scichł odgłos kroków Maryni, i wyszedł ze swojéj kryjówki.

Kilkanaście minut ubiegło, dało się słyszéć zamknięcie drzwi na drugiem piętrze, a potém lekki chód po wschodach tak dobrze panu Pawłowi znajomy.

Pan Paweł obmyślał sobie różne manewra żeby zamaskować swój postępek, drżał bowiem na myśl, że Marynia odgadnąćby go mogła.

— Spaliłbym się ze wstydu,— mówił do siebie.

W téj też dyplomatycznéj myśli, gdy Marynia wchodziła na wschody, zamiast wzrok zwrócić na dół, patrzył w górę,— zdawał się niby nie poznawać jéj po chodzie.

— Dzień dobry panu.

— Ach! to pani,—odrzekł pan Paweł szybko spuszczając głowę,— dzień dobry.... do-

prawdy nie spostrzegłem, przepraszam, myślałem, że pani na górze... Ale wié pani dostałem robotę, co mi wystarczy, aż do czwartku. Tylko mi się aż płakać chce nad panią....

— O! o! nie płacz pan, odpowiedziała wesoło Marynia,— i ja właśnie dostałam robotę, która mi także zapewne, aż do czwartku wystarczy....

— Co za traf!— rzekł pan Paweł, usiłując udać zdziwienie.

Na twarzy jego znać było tylko szczęście, które zresztą bynajmniéj zdradzać go i skompromitować w obec Maryni nie mogło. Zręczna kapitanowa tak zgrabnie urządziła wszystko, że poczciwe dziewczę na żadne wpaść nie mogło podejrzenie.

— Za jedną robotą pójdzie druga, trzecia,— mówiła wesoło,— wakacje nasze już się skończyły.

— I da pan Bóg więcéj nie wrócą,— odpowiedział z mocną wiarą kopista.

## VI.

Łatwo przewidziéć co się daléj stać mogło. Czwartek przyszedł wcześniéj niż było potrzeba.

Z rana przed pójściem do biura, pan Paweł przyniósł kapitanowéj starannie przepisane papiery; kapitanowa przyrzekła mu, że nad wieczorem będzie miał pieniądze, poszedł więc uszczęśliwiony do biura, a raczéj do pokoiku pana referenta.

Wkrótce po nim, przyszła do kapitanowéj Marynia, z prześlicznie wykończonemi koszulami. Kapitanowa podobnież zapowiedziała jéj na wieczór wypłatę, ale oznajmiła zarazem, że papiery już przepisane i że dwa ruble zapłacić będzie trzeba.

Marynia jeszcze przed udaniem się do filantropki, musiała zastawić swoją wełnianą sukienkę. Pieniądze jakie miała, wydały się już co do grosza, a tu nietylko na życie, lecz nawet na samo zapłacenie panu Pawłowi, licząc już, że za koszule wieczór zapłaconą zostanie, brakowało jeszcze pół rubla.

Zapytała się stróżki, gdzieby to znaleść jakiego fanciarza i poszła pod adres wskazany.

Tutaj pierwszy ją spotkał zawód.

Nie będąc dotąd nigdy w konieczności uciekania się do lichwiarzy, bo nigdy nie brakowało jéj roboty, nie miała wyobrażenia o tém, czem są przemysłowcy, pożyczający biednéj klassie na zastaw. Spodziewała się najmniéj pięciu rubli, dostała na sukienkę z wielkim targiem—rubla.

Było to dla niéj ciosem okropnym. Babka nic wiedziała wprawdzie o tém, że suknia idzie do zastawu, wiedziała przecież, że Marynia miała robotę i że za nią aż półtora rubla ma dostać. Będąc bez grosza, trzeba było z tego zarobku opędzać najkonieczniejsze dzienne wydatki, a na zapłacenie pana Pawła, był tylko pożyczony na dziesięć od sta miesięcznie rubel. Dać rubla, a zostać dłużnym drugiego, było to biednemu chłopcu zrobić zawód okropny. Gryzło to Marynię niezmiernie.

Zaledwie przyszła od filantropki, wstąpiła do kapitanowéj.

— A co pani,— spytała— czy zapłacili za koszule?

— Hm!— odrzekła wdowa— moja duszko, to ja bym się ciebie spytać powinna, czy zapłacili za przekopiowanie papierów?

— Niestety! nie jeszcze,— westchnęło dziewczę.

— No, to źle, moje dziecko, bo i ja ci powiedzieć muszę: niestety! nie.

— Jakto?... eh! pani kapitanowa żartuje.

— Ale bynajmniéj.... może jeszcze zapłacą.... do wieczora daleko... dotychczas przecież nic.

— To okropne!... cóż ja nieszczęśliwa pocznę?....

— Pan Paweł może poczekać.

— O nie!... nie może, proszę pani,— szeptało dziewczę— on taki biedny....

— A tyś to nie biedna, Maryniu, a przecież umiesz czekać na pieniądze za te koszule?....

— Właśnie dla tego, proszę pani, żem biedna, to rozumiem co znaczy biéda, wiem jak mu trudno będzie bez tych pieniędzy...

Pani kapitanowa była przez cały ciąg téj rozmowy uśmiechnięta. Uśmiech ten wzbudzał ufność w Maryni.

— Wié pani kapitanowa co... jabym pani powiedziała wszystko...

— No, no, cóż takiego?... mów kochanie.

— Tylko pan Paweł nic wiedzieć nie będzie.

— Ależ nic a nic, chyba od ciebie się dowié; ja będę milczała jak ściana.

— Otóż widzi pani,— rzekło dziewczę nachylając się do ucha kapitanowéj— ja jestem w takim kłopocie o tę zapłatę... bo to jest... widzi pani.... bo to... nareszcie bo te papiery są moje...

— I pocóżeś je dawała do przepisania?

Dziewczę zarumienione odrzekło ledwie dosłyszanym szeptem:

— Chciałam dopomódz panu Pawłowi.

Ta szczególna miłość bliźniego musiała się podobać kapitanowéj, to też pierwszą jéj myślą było wyprowadzić biedne dziewczę z kłopotu. Mogłaby to uczynić z łatwością, potrzebowała tylko powiedzieć, że koszule były pana Pawła, a dług cały Maryni, zmniejszyłby się do pół rubla.

Pierwsze myśli zwykle są dobre i dla tego pani kapitanowa bardzo rzadko ich słuchała, trzymając się w tym względzie arcy-dyplomatycznéj maksymy. Tą razą przecież miała już na języku słowo magiczne, co mogło nagle zmienić postać rzeczy, lecz Marynia pośpieszyła się z proźbą, która skłoniła wdowę do odmiany planu.

— Więc... jąkała się,— chciałabym pani kapitanowéj prosić o jedną łaskę...

— O jakąż to?...

— Czyby mnie pani nie chciała wybawić z kłopłotu i tymczasem założyć za mnie te dwa ruble.

Miała tę słabą stronę kapitanowa, że zaproponować jéj pożyczkę było tyle, co rzucić na nią ognia.

— Oho!—pomyślała—to panienka na mnie tu zastawiła sidła, chciała żebym ja zapłaciła za jéj amory... Nic z tego... niech pokutuje!

I odpowiedziala głośno, zatrzymując wciąż na twarzy ten słodkawy uśmiech, jakim swych gości obdzielała zawsze.

— Nie, moje dziecko, nie założę, bo nie mam. Zresztą byłoby to nagannem z mojéj strony. Jesteś młoda, powinnaś się uczyć sama dotrzymywać swych zobowiązań, a nie wyręczać się innemi. Osoba strzegąca przykazań boskich jak ja, nie może tolerować nawet mniejszych zdrożności. Przykro ci to, ale pocierp tę przykrość i ofiaruj ją za dusze w czyśćcu. Wierz mi zresztą, żebym może wreszcie wolała zapłacić za ciebie niż się rumienić, ale nie mam.

Marynia wyszła ze łzami w oczach i ze zranionem sercem, a wdowa patrząc za nią śmiała się złośliwie.

— Pokłopocz się, kiedy się durzysz głupio,— mówiła do siebie— inna na twojem miejscu dawnoby karetą jeździła; chce ci się kochać w golcu, to się kochaj sobie, ale mnie nie łap na plewy!...

Ledwie kilka minut ubiegło, pan Paweł przyszedł do lokotorki drugiego piętra.

— Więc jakże, pani kapitanowo dobrodziejko, zapłacili za przepisywanie?— zapytał po przywitaniu.

— Nie,— sucho odrzekła wdowa.

— Nie może być!— zawołał przestraszony kopista.

— Doprawdy nie zapłacili i nie zdaje mi się nawet, żeby w tych dniach zapłacić mogli.

Pan Paweł ręką uderzył się w czoło.

— Masz tobie licho!.... a czemże ja teraz za koszule zapłacę?....

— A! a!— podchwyciła co prędzéj wdowa,— więc to pańskie były koszule?

Kopista ugryzł się w język.

— Jakto moje?... nie,—odparł udając zdziwienie—zkąd pani przypuszcza, że moje?... mego biurowego kolegi.

— Kolegi... a dla czego pan masz płacić za nie ze swoich?

— Tak wypadło,— odrzekł lakonicznie pan Paweł.

— Hm!.... tak wypadło!... rozumiem.... koleżka dał pieniądze, lecz one poszły sobie na bawarka... na bilardzik... a teraz...

— Pani kapitanowo!— przerwał z godnością pan Paweł,— jest to ubliżające przypuszczenie, do którego nie dałem powodu mojem postępowaniem... Dostając robotę za pośrednictwem pani, uważałem pieniądze za nią jakby już były w mojéj kieszeni, i licząc na nie, dałem te koszule do roboty...

— Pokazało się, panie Pawle, żeś pił na skórę żyjącego niedźwiedzia, bo pieniądze, jak powiedziałam, zdaje się, że nie prędko będą.

— Pani,— rzekł na to kopista z powagą— sądzę, żeś mnie poznała, że jestem człowiekiem uczciwym. Robota, którą mam od pani, musi także z rąk uczciwych pochodzić. Masz więc pani dwie rękojmie, i jeśli zechcesz mogłabyś mnie poratować w nieszczęściu, pożyczając chociaż półtora rubla, żebym te koszule zapłacił.

Wdowa mogła to uczynić nie wyjmując nawet pieniędzy z woreczka. Dość jéj było powiedzieć panu Pawłowi, że zapłacenie Maryni bierze na siebie, a przed Marynią, że zapłaciła kopiście półtora rubla na jéj rachunek, rozgniewana jednak na oboje,— na Marynię, że śmiała jéj prosić o pożyczkę, na pana Pawła, że uważał ją niejako za poręczycielkę wypłaty za daną przez nią robotę,— złośliwa zresztą, i przekorna z natury, a ciekawa niezmiernie jak też dwoje biedaków wyplączą się z kłopotu w który tak szlachetnie zabrnęli, odmówiła panu Pawłowi stanowczo, dając mu jeszcze nauczkę, żeby przed niewodem nie łowił i nie dawał koszul do szycia, dopóki na nie pieniędzy nie ma w kieszeni.

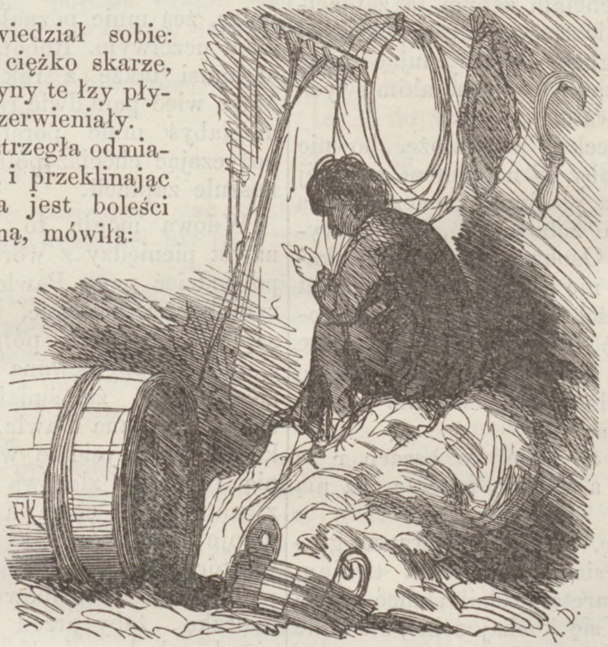
Pan Paweł naturalnie był w rozpaczy,— w rozpaczy była Marynia. Oboje niewypłacalni skutkiem niewypłacalności cudzéj, straszną mieli w sercu urazę do ludzi dopuszczających się grzechu wołającego o pomstę, przetrzymania zapłaty robotnikom.

Wprawdzie i Paweł i Marynia znajdowali się sami w tym przypadku, że owego o pomstę wołającego grzechu dopuszczać się musieli z konieczności, powinniby więc byli być wyrozumialszemi na tych, od których należały się im pieniądze,— lecz, że to i w najpoczciwszym człowieku, jest zawsze znaczny kawał samoluba, więc żadne z nich rozżalonem sercem darować nie mogło swemu nieznajomemu pracodawcy téj zwłoki w wypłacie, jakiéj się samo dopuszczało najniewinniéj.

Po odmowie pożyczki przez kapitanową zrazu pan Paweł nie śmiał się na oczy pokazać Maryni, Marynia unikała pana Pawła. Wstydzili się siebie, każde bowiem miało sobie do wyrzucenia, że w szczeréj chęci niesienia pomocy, przykrość i zawód zrobiło drugiemu, więc chociaż jedno winy drugiego wcale domyślać się nie mogło, grzech ten ich bolał i wstydzić się im siebie kazał wzajemnie.

Dobrowolne to jednak unikanie spotkania nie mogło trwać długo. Coś wyciągnęło pana Pawła przede drzwi, Marynia także zakręciła się na wschodach, spostrzegli się niebawem i jakieś bardzo smutne, dobry wieczór, zamienili.

— Mój Boże!.... pani ma takie czerwone oczy.... pani płakała — rzekł pan Paweł.



Pan Fortunat skulony we dwoje siedział na kupie przędziwa (st. 116).

A w duchu dopowiedział sobie:

— Pan Bóg mnie ciężko skarze, bo to z mojéj przyczyny te łzy płynęły i te oczęta poczerwieniały.

Marynia także spostrzegła odmianę w swym sąsiedzie, i przeklinając się w duchu, że ona jest boleści pana Pawła przyczyną, mówiła:

— Jaki pan smutny!....

— Eh! proszę pani — odrzekł niecierpliwie pan Paweł— jak tu nie boleć, jak tu nie być smutnym, kiedy ludzie za robotę nie płacą... a ja miałem taki święty wydatek!...

Słowa te przeszyły serce Maryni jakby najostrzejszym sztyletem, tém też większy żal miała do swego nieznanego dłużnika.

— Już to nasze dole zawsze do siebie podobne — odpowiedziała po chwili— i ja, jeśli płakałam, to na tych co dają do roboty, a potem odwlekają z oddaniem pieniędzy. I ja miałam wypadek taki....

Pan Paweł z kolei, aż się zachwiał na nogach, tak go te słowa zabolały. Były one jakby wprost do niego skierowanym wyrzutem, i w taką go wściekłość wprowadziły przeciw jego nieznajomemu, a niewypłacalnemu pracodawcy, że gdybyby go w téj chwili miał przed sobą, zdawało mu się, że by go rozszarpał.

— To niegodziwie tak zarywać biednych ludzi!— zawołał.

— W istocie, że to niegodnie,— zawtórowała Marynia.

A w sercach obojga wyrazy te tłomaczyły się przez najboleśniejsze *mea culpa:* jam to ta niegodziwa!... jam to ten niegodny!...

Rozmawiali tak długo jeszcze młodzi kochankowie, i nie wiedzieli o tém, że bez najmniejszéj dokuczenia sobie intencji, owszem w najczystszéj miłości, bolejąc jedno nad drugiem, gadali sobie tylko najstraszliwsze i najboleśniejsze impertynencje, aż gdy się rozeszli nareszcie, każde z osobna padło na swoje łóżko, ukryło głowę w poduszkach i gorzkiemi łzami płakało.

— O! Boże, żeby on wiedział, iż te wszystkie gorzkie wyrzuty do mnie były wymierzone,— myślała zanosząc się od łez Marynia.

— O! ja nieszczęśliwy, gdyby ona wiedziała, że na te wszystkie skargi jéj i potępienia ja zasłużyłem — jęczał przez całą noc pan Paweł.

Dzień następny nie był weselszym Nowe dowiadywania się u kapitanowéj, czy czasem nie zapłacono za robotę nie doprowadziły do niczego. W biurze u referenta p. Paweł myślał, czy się powiesić czy utopić, u filantropki Marynia kilka razy wepchnęła sobie igłę w palec aż do kości. Za powrotem, aż się oburknęła kapitanowa, gdy ją znów kolejno odwiedzili dopytując się o pieniądze, a nad wieczorem na wschodach znowu zaczęły się lamentacje nad niewypłacalnością ludzi, którzy dają robotę biedakom.

Pragnąc się pocieszyć wzajemnie kochankowie, krajali sobie wzajem serca jak nożami.

— To doprawdy trzeba nie mieć sumienia, żeby tak komu długo kazać czekać — mówił pan Paweł.

— Ani litości,— wtórowała Marynia.

— Krzywdzić sieroty!... i żeby to jeszcze ktoś biedny!...

— No, widzi pan — zaczęła ujmując się Marynia— może to w istocie ktoś niezamożny. Bo ten co mi dał te dwie koszule, to zapewne jakiś niebogaty być musi.... więc

może i pańskie przepisywanie jest od jakiéj niebogatéj osoby.

— Gdzie tam pani!.... to bogacze, panowie, i dwóch rubli skąpią zapracowanych krwawo...

— O! jeżeli bogaci, to już prawdziwe łotrostwo,—oburzyła się Marynia, rada że choć raz odezwać się mogła z zarzutem, którego sumienie do siebie samej zastósować jéj nie kazało.

Po rozejściu się z kopistą, Maryni nie mogło wyjść z głowy zkąd się uroiło panu Pawłowi, że osoba, która mu dała papiery do przepisywania musi być koniecznie bogatą?... Były to przecież papiery jéj matki, a matka jéj była biedna.

Myślała nad tém długo i coraz więcéj ją to ciekawiło.

Szarą godziną raz jeszcze zdarzyła się sposobność pomówienia z panem Pawłem na wschodach.

— Panie Pawle,—spytała— więc pan wiesz na pewno, że osoba, co dała panu te papiery do przepisania przez kapitanową, jest taka bogata?

— Ale na pewno pani.

— Przysięgłabym, że się pan mylisz. Osoba zamożna nie zwłóczyłaby tak z dwoma rublami.



Pan Fortunat siedział na futrynie okna jak na koniu. (str. 117).

— Co pani chce? im kto bogatszy, tém bardziéj lubi dusić grosze.

— Nie, to niepodobieństwo, ja temu nigdy nie uwierzę.

— Tak jednak jest w istocie. Gdyby pani miała czas; tobym pani opowiedział całą historję, zkąd wiem, że to ludzie bogaci.

— Owszem, nie spieszy mi się wcale,— odrzekło dziewczę zaciekawione— opowiedz pan jeśli łaska, to coś zajmującego być musi.

— W istocie, że to zajmujące,— odpowiedział pan Paweł,— z samych tych papierów nie wiele dowiedziećby się można, ale ja przepisywałem całe akta dotyczące téj sprawy dla jednego z adwokatów, który nieszczęściem teraz do wód wyjechał i roboty dać mi nie może, ztąd więc wszystko najdokładniéj rozumiem.

Tu pan Paweł zaczął opowiadanie, z którego dowiedziała się Marynia następnych okoliczności:

Po bracie jéj matki zmarłym przed rokiem, w Galicji, pozostał majątek wynoszący około czterdziestu tysięcy reńskich. Majątek ten, jako po zmarłym beztestamentowo i bezdzietnie przypadał w całości rodzeństwu, to jest jedynéj siostrze i jéj dzieciom. Matka Maryni mało miała stosunków ze swym bratem, zwłaszcza gdy po śmierci pierwszego męża, za życia którego mieszkała w Krakowie, przeniosła się do Warszawy, poszła za mąż, następnie podupadła i umarła, zostawiając jedyną córkę Marynię, pod opieką kaleki babki, matki zmarłego również ojca dziewczęcia. — Po śmierci matki, wuj z Galicji zapomniał zupełnie o swéj siostrzenicy w Warszawie, a Marynia, nie wiedziała prawie o wuju, po którym teraz pozostały majątek przypadał jéj w całości jako najbliższéj krewnéj. Ponieważ jednak na miejscu, najmniejszéj nie było wiadomości o córce rodzonéj siostry zmarłego, a żadnéj bliższéj familji nie było, więc jacyś bardzo dalecy krewni, mieszkający pod Warszawą, bogaci już sami przez się, prowadzili proces o ten majątek, każdy z nich bowiem utrzymywał, że summa spadkowa nie powinna być podzieloną, lecz jemu w całości się należała. Tych właśnie krewnych papiery i akta tego procesu przepisywał poprzednio pan Paweł dla adwokata o którym wspominał.

Pan Paweł opowiadał to wszystko nie wiedząc wcale, ani mogąc się domyśléć, że papiery należały do Maryni, dla niéj sprawa ta stawała się coraz jaśniejszą.

— Otóż widzi pani — zakonkludował kopista— że ta osoba, do któréj owe papiery

należą, ma odebrać sukcesję bardzo wielką, że te papiery zapewne do téj sprawy przepisywać kazała, i że w takiéj sprawie dwa ruble jest bagatelą.

— Czy tylko pan pewnym jesteś tego coś mi powiedział?... zapytało dziewczę.

— Najpewniejszym, pani, a zresztą w każdym czasie przekonaćby się można u adwokata, ale co nam tam do tego, kiedy to nie nasze pieniądze.

— Och! panie Pawle,— zawołała Marynia— jeśli to prawda, co pan mówisz, w takim razie przepisywanie pańskie będzie zapłaconem niedługo... i to, jeżeli zechcesz.... nie dwoma rublami, ale tą sukcessją całą...

— Jakto?... co pani mówi?— zapytał kopista zdumiony.

— Bo.... bo.... zarumieniła się Marynia,— bo to były moje papiery i ja za nie płacić powinnam, a dotąd nie miałam z czego.

— Ach! tak... lecz jeżeli to są pani papiery, to mi się za przepisanie nic nie należy, albo co najwyżéj... pół rubla.

— A toż dla czego, panie Pawle?

— Bo... widzi pani, rzekł chowając oczy kandydat na aplikanta,— bo to były moje koszule...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Nazajutrz pan referent próżno czekał na pana Pawła, a filantropka na Marynię. Grzecznemi karteczkami zawiadomili oni swoich dobroczyńców, że się zrzekają korzyści i widoków przywiązanych do stanowisk, jakie zajmowali przy nich.

— Bisurman! nawet o uwolnienie nie poprosił,— rzekł pan referent, i skrzyczał niemiłosiernie woźnego, który mu się nasunął w téj chwili.

— Niewdzięczna, nawet podziękować nie przyszła!... i rób tu komu dobrze!... błażnica jakaś!... passjonowała się filantropka, potem poszła do kuchni, zajrzała do garnków, a znalazłszy coś nie po myśli, okropną scenę zrobiła kucharce, i potłuczeniem kilku skorup ją skończyła.

* * *

W parę miesięcy po opisanych powyżéj wypadkach, autor niniejszéj powiastki potrzebował dać do przepisania jakiś rękopism. Przypomniał sobie, dany mu przez kogoś na pewien czas przed tem adres, do pana Pawła kopisty, mieszkającego na Starem mieście, w kamienicy zwanéj *potrzaskiem*, i udał się tam niezwłocznie.

W sieni, oraz na wschodach pierwszego i drugiego piętra nie spotkał nikogo, ktoby mógł go dokładniej objaśnić do których drzwi zapukać wypadało. Dopiero na drugiem piętrze, przez uchylone drzwi dostrzegł osobę, mającą lat czterdzieści kilka, dość dobréj tuszy, z czarnym, siwiejącym włosem i małemi szaremi oczyma, i téj o pana Pawła zapytał.

— A! panie dobrodzieju,— odpowiedziała zaczepiona,— historje, brewerje!... ożenił się z tą z piątego piętra Marynią, szwaczką... mają majątek... kamienicę kupili.... babkę ze sobą wzięli... Chodź-że pan, niech to panu opowiem, bo to warto choćby drukować.

Pociągnięty za połę, po części z ciekawości, a po części dla bezpieczeństwa tużurka, autor powiastki poszedł, zabrał znajomość z panią kapitanową i usłyszał od niéj powyżéj spisane szczegóły, do których wymowna wdowa taki dodała sens moralny:

— Los się uśmiechnął panu Pawłowi i Maryni. Dał im fortunę, jakiéjby się nigdy nie dorobili, ani igłą, ani piórem, ale nie należy się łudzić i wielkich z tego robić rzeczy, bo ileż to biljonów ściegów drobna igiełka zrobić musi, ile miljonów czarnych głosek pióro w bieg puszczone nakreśli, nim jeden taki uśmiech losu się zdarzy.

Tak zakończyła kapitanowa, więc na tem niech będzie *koniec*.

W lutym 1867 roku.

# POGADANKI NAUKOWE.

## TELEGRAF I JEGO BIURO CENTRALNE W PARYŻU.

Pomysł korrespondowania za pomocą znaków, jest stary jak świat. Skoro dwóch ludzi mających wspólne interesa, zostało rozdzielonemi, musieli zaraz szukać sposobu rozmawiania z sobą mimo przestrzeni.

Zapytana Klitemnestra, kto jéj powiedział tak prędko o wzięciu Troi, odrzekła: „Wulkan" i wytłomaczyła, że ognie zapalone w pewnych punktach na wierzchołkach gór, jako znak umówiony, dały jéj znać o tém.

Cezar mówi już o znakach za pomocą których Gallowie i Rzymianie korrespondowali, ale ta sztuka *pisania zdaleka* była jeszcze w zawiązku. Donoszono sobie tylko o wypadkach już przewidzianych. Wieki średnie używały sposobów znanych w starożytności i nie ma śladu, żeby wynalazły co nowego. Pierwsze próby prawdziwéj telegrafji, mogące się nagiąć do wszelkich kombinacji pisma, winniśmy jak się zdaje, Robertowi Hooke. Wiadomo, że ten obraźliwy garbusek, znał się na wszystkiem: wymyślał nowe systemata budowy zegarków, badał obroty gwiazd i obroty kuli ziemskiéj, pisał projekta ulepszeń dla miast południowych. Zadał też sobie pracę, wymyślenia sposobu korrespondencji za pomocą znaków i zbudował machinę bardzo skomplikowaną, w któréj czarne deski przekręcane w pewny sposób, przedstawiały litery alfabetu. Pomysł ten nie był nowy, zapożyczony bowiem od Rzymian. Polibiusz opowiada, że za pomocą pochodni płonących lub ukrytych, utworzono pewien alfabet do dawania sobie znaków.

Pomysł Hooka popadł w zapomnienie z przyczyny trudności jakie przedstawiał. Jednakże Towarzystwo Londyńskie zajęło się nim i w roku 1684, wysłuchało rapportu o odległości jaka powinna dzielić stacje telegraficzne.

Wilhelm Amontons jest pierwszym francuzem, który się zajmował telegrafem. Robił doświadczenia swojego systematu w Paryżu w ogrodzie Luksemburgskim w obec Delfina. Zdaje się, że pomysł jego zbliżał się do tego jaki późniéj Chappe przedstawił, ale o nim nic z pewnością powiedzieć nie można, bo nie pozostało i śladu. Obojętność publiczności i samego twórcy, którego więcéj zajmowała teorja, niż jéj zastosowanie, sprawiły, że projekt zupełnie zapomniany został, kiedy Amontons umierał 1705 r.

Następujący ustęp z pamiętników współczesnych, wskaże, w jakim stanie była telegrafja w pierwszych latach panowania Ludwika XVI. „10-ty listopad 1778 r. Mówią o znakach które się przygotowują, aby w przeciągu trzech godzin, dwór Wiedeński zawiadomiony był o zdrowiu jéj królewskiéj mości. Będą to wystrzały z armat, jeżeli wiatr sprzyjać będzie, a w miejscach gdzie się to nie uda, będą użyte ognie zapalone w pewnych przestankach."

Tu i owdzie przechodziły przez głowę różnych ludzi pomysły tego rodzaju; jak widzimy myśl była już jakby w powietrzu, dojrzewała w pojedynczych umysłach i miała wkrótce znaleść stosowną dla siebie formę. Dnia 22 Marca 1792 roku, pan Chappe stawiwszy się przed *Zgromadzeniem Prawodawczém*, składając przed nim pomysł, szybkiéj kommunikacji w wielkich odległościach oświadcza, że Ciało Prawodawcze będzie mogło podczas trwania sessji wysłać swe rozkazy na granice państwa i odebrać odpowiedź. Przedstawił nawet protokuły kilku doświadczeń swego sposobu, zrobionych z powodzeniem w departamencie Sarthe. Zgromadzenie przyklasnęło i zaprosiwszy p. Chappe na sessję odesłało jego wynalazek do rozbioru komitetowi nauczania publicznego.

Imie Chappe znane już było w nauce przez odznaczenie się kilku członków w téj rodzinie. Klaudjusz Chappe, wziął po stryju zamiłowanie nauki i wytrwałość w pracy; jednakże nie wpadł na pomysł swego wynalazku skutkiem wytężonych w jednym kierunku usiłowań, ale raczéj przez koncept dziecięcy. Klaudjusz przeznaczony do stanu duchownego był umieszczony w seminarjum, które leżało o pół mili od pensji, w któréj jego bracia się uczyli. Dzieci zapragnęły rozmawiać z sobą i Klaudjusz wymyślił na to sposób. Duże linje drewniane pomalowane na czarno, przytwierdził do białego muru seminarjum. Za pomocą perspektywy bracia jego mogli widzieć obroty tych linji, o które umówili się poprzednio z Klaudjuszem. Taki był dziwny początek przyrządu do sygnałów, z których późniéj utworzyć się miała mowa telegraficzna. Zdaje się jednak, że ta igraszka dziecinna nie zostawiła wielkiego śladu w umyśle Chappe'a; został księdzem i w czasie rewolucji, zrzucił sukienkę jak wielu innych. Dopiero w roku 1790, zaczął na serjo pracować nad pomysłem korrespondencji za pomocą znaków. Miał, rzec można, niejako wizję przyszłości, gdyż na chwilę o elektryczności pomyślał, lecz zrażony niepomyślnemi próbami, zaniechał je. Wtedy spróbował, czy za pomocą mieszania kolorów nie otrzyma znaków wyrazistych, ale spostrzegł że kolory najbardziéj odmienne, robiły się białe od słońca, a czarne w cieniu, jak tylko oddalenie było znaczne. Uciekł się do dźwięków i użył naczyń miedzianych jak rądle, w które uderzano dla wyciągnięcia z nich brzmień pewnych, ale to wszystko na nic się nie zdało i Chappe już się miał zrzec wszystkiego, gdy przypomniał sobie owe drewniane linje za pomocą których w dzieciństwie rozmawiał z braćmi. Teraz był na dobréj drodze i już jéj nie opuścił.

Chcąc dowieść, że wynalazek był praktyczny, robił swe doświadczenia publicznie. Była to epoka największego wzburzenia 1791 roku. Lud francuzki podejrzywający wówczas wszędzie zdrajców, zobaczywszy nieznaną sobie machinę, w formie dziwacznéj, która poruszała sama swoje ramiona i kręciła niemi w powietrzu bez widocznéj przyczyny, posądził, że to jest sposób wymyślony do zma-

wiania się na szkodę kraju z królem, uwięzionym wtedy w Temple. Pewnego poranku gromada ludzi wpadła do parku Menilmontant, zniszczyła telegraf, rzuciła szczątki przyrządu do ognia i byłaby to samo uczyniła z wynalazcą i jego braćmi, gdyby uciec nie zdołali. Upłynęły długie miesiące, a o telegrafie ani mowy nie było. Chappe udawał się napróżno do wszystkich biór i komitetów.

Podczas jednéj z takich audjencji, które nieraz wynalazcę w rozpacz wprawiały, maszyna jego dostała swoją ostateczną nazwę. *Miot de Mélito*, opowiada, że raz gdy odwiedzając go w ministerstwie wojny, Chappe wykładał mu szczegóły swego przyrządu, który nazywał *tachygraf* (pisać szybko), Miot zrobił mu uwagę, że słuszniéj będzie nazwać go *telegraf*, (pisać z daleka). Chappe przyznał mu słuszność i nazwa została. Ale nie dosyć było nazwy, trzeba było jeszcze pomysł z papierów, gdzie leżał spisany, w ruch wprowadzić.

(Dokończenie nastąpi).

---

# PANI DE STAËL, PIERWSZY PUBLICYSTA XIX WIEKU.

(Dokończenie).

Część druga biografji pani de Staël, przez professora Franck'a, obejmuje sprawozdanie z jéj politycznych poglądów, które autor własnemi uwagami dopełnia, podajemy ją tu w streszczeniu:

„*Uwagi nad rewolucją francuzką* pani de Staël, są ogłoszone drukiem r. 1817, to jest w rok po śmierci autorki, przez barona de Staël jéj syna i księcia de Broglie jéj zięcia. Polityka jest głównem zadaniem téj książki i nie mogło być inaczéj. Nie zapełnia jéj wszakże całéj. Dostrzedz tam można łatwo trzy żywioły różne, a połączone w jednolitym pomyśle. Są tam najprzód pamiętniki osobiste, gorzkie wspomnienia i niechęci, które skłoniły autorkę do napisania książki pod tytułem: *Dziesięć lat wygnania*; następnie jest to streszczenie filozoficzne historji Francji, nakoniec wytłomaczenie początku i postępów rewolucji francuzkiéj; filozoficzna dedukcja przyczyn, które przygotowały i uczyniły koniecznem to kryzys gwałtowne, oraz jakie z niéj nauki powinny wyciągnąć na przyszłość rządy i ludy. Takie dzieło koniecznie być musi niezupełne, nikt bowiem nie jest w stanie ocenić dobrze wypadków w które był wmieszany; brak mu chłodu, aby miał sąd bezstronny i wolny od uprzedzeń. Żadnemu jednak z dzieł swoich pani de Staël nie dała doskonalszéj formy, w żadnem nie rozwinęła świetniejszego stylu na posługę myśli głębokiéj i dojrzałéj; lecz jéj sąd bystry, z cudownem jasnowidzeniem umiejący dostrzedz pierwsze przyczyny rzeczy, daje się uwodzić zbyt często przez dwie namiętności, zarówno u niéj żywe: miłość dla ojca i nienawiść dla Napoleona. Skutkiem zaślepienia któreby pojąć trudno, gdyby się nie wiedziało jaką cześć zachowała zawsze dla swego ojca, wszystko do niego odnosi, i z ministra który nie umiał ani przewidzieć rewolucji, ani przeciw niéj walczyć, ani pójść z nią, robi punkt środkowy wypadków. Niemniéj zaciemnia jéj poglądy, nienawiść do Bonapartego, jakkolwiek tę nienawiść do pewnych granic, z przyczyn jéj osobistych, wytłomaczyć można. Powiadają, że go nazwała Robespierrem na koniu, jednakże lubo nie popełniła téj niesprawiedliwości, to dopuściła się zbyt surowych określeń, samolubnéj ambicji Cesarza. Powiedziała np. „Bonaparte byłby cały świat oddał na procent dożywotni hipotekując go na swojéj głowie." Nie pochwalamy téj przesady wyrażeń, uznajemy jednak ile pani de Staël wycierpiała. Przez dziesięć lat dokuczano jéj ciągle w tém co miała najdroższego: ojczyznę i swobodę. Zanadto czuła te ciosy, aby potrafiła sądzić z zimną krwią tego, który je zadawał. Miała zupełne prawo powiedzieć: „jakże mogłam zmierzyć wysokość olbrzyma, kiedy on trzymał zawsze nogi na mojéj głowie". Jakkolwiek stronność pani de Staël, wytłomaczona i uznana zostanie, a jeszcze *Uwagi nad rewolucją francuzką*, od pierwszéj do ostatniéj stronnicy, zasłużą na uwielbienie wszystkich umysłów wyższych.

Streszczenie filozoficzne historji Francji, które umieściła na początku książki, na pierwszy rzut oka nie zdaje się być bardzo oryginalnem, idee bowiem tam wyłożone są tak prawdziwe i rozsądne, że dziś zostały powszechnie przyjęte i weszły w szereg tych prawd, które już nie podlegają dyskussji, ale w 1816 roku były jeszcze tyle nowe, ile są mądremi i cześć się należy pani de Staël, że je na jaw wyprowadziła. Trzy wielkie wydarzenia widzi ona panujące w historji Francji i znaczące w niéj trzy epoki: napady barbarzyńców, feudalność i monarchję absolutną.

Jéj sądy o państwach zagranicznych, równą mają wartość; jest w nich wysokie pojęcie ogólnych interesów, bystrość w ocenia-

niu przymiotów i wad każdéj instytucji, oraz takt polityczny, którego nie można dosyć nachwalić się w kobiecie, szczególniéj, gdy te przymioty męzkie są połączone z żywością wyobraźni i uczuciem gorącém, czém nigdy nie odznaczali się politycy płci męzkiéj.

W roku 1816 Rzesza Niemiecka tworzyła się dopiero, doświadczenie nie pokazało jeszcze, jakie niebezpieczeństwa przygotowywały dla Europy te zacofane o kilka wieków wśród innych państw tegoczesnych, Niemcy feudalne, które koniecznie przez podbój lub rewolucję zmienić się musiały. Pani de Staël dostrzegła od razu wady téj podstarzałéj konstytucji. Powstała energicznie przeciwko dowolnemu podziałowi wielkiego państwa na wielką ilość drobnych, które jedynie w interesie kilku rodzin znajdują przyczyny bytu. Nie pragnie jednak dla Niemiec, aby były całe złączone pod jedném berłem, pojmuje doskonale, jakie przeszkody zbytnia centralizacja stawiłaby polotowi germańskiego ducha,— pragnie raczéj ujrzéć na miejscu téj gromady drobniuchnych państw bez siły i powagi, konfederacją państw średnich, umiejących utrzymać swą godność, nie napastując drugich. Przewidziała, co się miało stać z tą Rzeszą Niemiecką szarpaną na dwie przeciwne strony, przez dwie rywalizujące z sobą potęgi Austrji i Pruss i mające nareszcie stać się nagrodą mocniejszego.

Pani de Staël nie mniéj zdrowo sądzi położenie Włoch, które, zdawna pożądane przez potężnych sąsiadów, wystawione na ich przedsięwzięcia ambitne, były w gwałtownéj potrzebie zjednoczenia się dla oporu. Drugie niebezpieczeństwo dla Włoch w jéj oczach, przyczyna ich słabości i niepokojów jest stan duchowny. Ona wyprzedziła zdanie, które się dziś stało oficjalną formułą: *wolny kościół w wolném państwie*. Pojęła, że Stolicy Apostolskiéj bardziéj potrzebna swoboda, niż posiadanie kawałka ziemi i małéj armji, i że o to głównie winni się dopominać przedstawiciele Boga, który zawsze odpychał siłę, a chciał tylko panować nad sercami potęgą słów przekonywających.

Instynktem niejako pani de Staël, wznosi się po nad pospolitą zręczność mężów stanu i przychodzi do jasnego pojęcia prawdziwych interesów narodowych, kierując się tylko uczuciem prawa. To, co mówi o przyszłości Szwecji i Danji wygląda na przepowiednię.

Robiąc przegląd dawniejszych instytucji francuzkich ocenia je należycie. Podnosi paradoksa hr. de Boulainvilliers, który widzi w ustroju feudalnym najdoskonalszą formę urządzenia społecznego, znajdując, że klassy niższe są w nim protegowane, klassy zaś wyższe powstrzymywane siłą obyczaju. Na to odpowiada pani de Staël, że przywileje jakkolwiekby były dawne, nie są nigdy prawami, że być protegowanym, a być swobodnym, to są dwie rzeczy różne, że francuzka szlachta nie mogła być nigdy uważaną za przedstawicielkę 25-u miljonów ludności i że nie było możliwem, ażeby wszystkie prawa kraju były wiecznie w ręku takiéj mniejszości. Słowem jest w *Uwagach nad rewolucją francuzką*, pełno spostrzeżeń, zasługujących na wysokie uznanie. Dostrzegamy tam wprawdzie uprzedzenia i antypatje osobiste, którym nie dowierzać należy. Autorka jest niesprawiedliwą dla konstytucji z roku ósmego, widzi tylko jéj wady i pisze raczéj na nią satyrę, niż krytykę. Zapomina, że rząd 8-go roku, nadał Francji jedność administracyjną, zapomina, że Bonaparte był przez chwilę świetném uosobieniem rewolucji i przyłożył się więcéj niż kto inny do rozszerzenia w Europie płodnych idei postępu. Błędy, a nawet i niesprawiedliwości pani de Staël są nauczające. Jeżeli urazy osobiste, jeżeli pamięć nie umiejąca przebaczyć, zdołały sfałszować ten sąd tak prawy i nieomylny, jasnym to jest dowodem jak trudno ocenić bezstronnie wypadki, ludzi i instytucje, na które się patrzy zbliska i jak ważną jest rzeczą, umieć się wznieść po nad nienawiści i interesa pojedyncze, gdy chcemy podobne robić studja.

# PRZEGLĄD LITERATURY POLSKIÉJ.

1) *Treny* Jana Kochanowskiego, studjami i przypisami objaśnione, przez Felicjana. Warszawa, 1867, str. 128.— 2) *Zriny* tragedja z dziejów węgierskich. Teodora Körnera, przełożył wierszem rytmicznym Ludwik Jenike. Warszawa 1867, str. 90.

Zanim będziemy mogli się zdobyć na systematycznie we wszystkich szczegółach i w całości wykończone, budowy, każdéj prawie gałęzi umiejętności, potrzeba nam przedewszystkiem przygotować materjał monograficzny opracowany z zamiłowaniem i drobiazgową wiernością, konieczną przy pracach tego rodzaju. Literatur i historji polskich mamy pod dostatkiem, ale w szeregu tych dzieł postęp stosunkowo mały. Powtarzamy się, a niezdobywamy nowych punktów widzenia, nowych a ważnych szczegółów wyjaśniających epokę i ludzi. Nie ma zysku dla literatury w tém, że liczba dzieł wzrasta, ale na jakości ich główna jéj potęga i rozwój dalszy zależy. Z szeregu takich monograficznych prac wzbogaconych mnóstwem nieznanych poprzednikom szczegółów, może dopiero systematyczną budowę przedsiębiorący historyk literatury, wytworzyć wykończoną całość i zaszcze-

pić na gruncie zużytych i przestarzałych pojęć— pojęcia nowsze i prawdziwsze.

Pan Faleński pracował przez lat kilka nad jedną tylko postacią z poetyckiéj plejady naszéj, XVI wieku. Pracował usilnie, zbierał materjały, porównywał, rozbierał je krytycznie, badał ducha epoki i owoc swoich studjów przedstawił nam w dziele, do którego odtąd każdy historyk literatury będzie musiał udawać się po radę, ilekroć mu przyjdzie o Jana Kochanowskiego zaczepić.

Pisano wiele o Czarnoleskim śpiewaku.

Tomik cały możnaby poświęcić wyliczeniu tytułów dzieł, w których to nazwisko sympatycznie wspomnianem było i ocenioném zaszczytnie. Z niemców Jan Scherr, z francuzów: de Noailles na cześć naszego poety pochwalne wyśpiewali psalmy. W naszéj literaturze nie ma dzieła, gdzieby choć ubocznie nie zawadzono o przedstawiciela umysłowości polskiéj z wieku Zygmuntów. A nawet, że pominiemy Hofmanowę, istnieją oddzielne o Kochanowskim rozprawy. Tak np. nieprzytoczona w studjach Faleńskiego, rozprawa w języku francuzkim Stanisława Rzewuskiego, pod tytułem: „*de la poésie lirique et eu particulier de Jean Kochanowski lirique polonais.*” *Paris 1824*, za którą autor pozyskał godność doktora akademji paryskiéj, rozprawa Przyborowskiego etc.

Z tem wszystkiem prace te, pomimo większéj lub mniejszéj ścisłości, błąkały się ciągle w kółku utartych pojęć o znaczeniu Kochanowskiego, o wybitném stanowisku jakie w literaturze Zygmuntowskiego okresu zajmował. Każdy piszący o téj postaci z równą sympatją, z jednakiem współczuciem odzywał się o rzewnym liryku polskim, przyznając mu palmę pierwszeństwa w szeregu braci po piórze; tak, że zdawało się, iż do wyrobionego raz na zawsze o tym poecie poglądu, nic nowego przydać nie podobna. Trzeba było zapału, głębokich studjów i oczytania wszechstronnego, aby, tak jak to uczynił pan Faleński, nowe rzucić światło na posągową postać Kochanowskiego i dzisiejszą skalą literackich pojęć, odmierzyć chociaż jedną stronę talentu wieszcza, jeden a znaczący i wpływowy rodzaj jego utworów. Więc usunąwszy na stronę opisowe poemata, p. Faleński zajął się przedewszystkiem „trenami” Kochanowskiego, jako rodzajem, w którym liryzm poety najwybitniéj mógł się przejawić i najczulszą stronę serca odkryć przed oczyma czytelników. Treny te, treścią swoją i formą odstrychnęły się od wszystkich poetyckich utworów ówczesnéj epoki, wyzwoliły się z pod jarzma pedanterji narzuconego poezji przez francuzki klasycyzm z Ronsardem na czele; nie dziw też, że w tym właśnie rodzaju utworów Kochanowskiego, dobadał się pan Faleński rzeczywistéj różnicy dzielącéj Czarnoleskiego wieszcza od współczesnych mu poetów i śmiało mógł powiedzieć, że Kochanowski był pierwszy z poetów naszych, którzy pozornie hołdując klassycyzmowi „skrycie wszakże przeciwko niemu spiskowali”. Pokrewnym pod tym względem Kochanowskiego duchem, był twórca „Marji” Antoni Malczewski.

Znaczenie też trenów w literaturze naszéj dopiero pan Faleński dowodnie na przykładach wykazał i słusznie koleje ich, koleje wpływów jakie swém ukazaniem się na współczesnych i potomnych wywarły, przyrównywa do rzędu „spraw” mówiąc o „sprawie trenów” w znaczeniu rewolucji jaką w pojęciach literackich w narodzie wywołały.

Punkt ten zapatrywania nowy, oryginalny, szczęśliwą intuicją i sumiennem wczytaniem się w ducha utworów Kochanowskiego zdobyty, przeprowadza p. Faleński przez wszystkie stronnice swego pięknego dzieła.

Po przeczytaniu tych studjów zaczynamy dopiero jaśniéj sobie zdawać sprawę z olbrzymiego rozgłosu jakiego się treny w literaturze polskiéj dobiły, zaczynamy pojmować przyczynę, dla któréj tylu sobie zjednały naśladowców w wiekach późniejszych. Samo wprawdzie czytanie trenów wystarcza, ale komentarz Faleńskiego dla zgłębienia ich doniosłości jest koniecznym. Nawet drobiazgowe wskazówki w pojedynczych zwrotach i zdaniach następców Kochanowskiego, przejętych żywcem lub z małemi zmianami z pierwowzoru, małoważne same w sobie, mogą dać miarę stopniowego wnikania ducha utworów Kochanowskiego, w umysły późniejszych poetów. Taki wpływ nie był i nie jest bez znaczenia dla bacznego historyka literatury.

Piękną jest w życiu Kochanowskiego chwila, kiedy stary Rej, usłyszawszy po raz pierwszy wierszyk młodego poety, podówczas bawiącego w Paryżu, otworzył mu bezzawistném wyrażeniem, tak rzadkiem niestety! między braćmi po piórze, drogę do szerokiego między rodakami rozgłosu.

„Temu w nauce, dank przed sobą dawam
I pieśń bogini słowiańskiéj oddawam!”

takie były zaimprowizowane w uczuciu niekłamanéj radości, wiersze poczciwego Reja. Niesłusznie tedy pan Faleński rzuca zasłonę na tak piękny w życiu obu wieszczów fakt, z jednéj strony wykazujący szlachetność charakteru Reja, z drugiéj potężny przy samym wstępie wpływ Kochanowskiego, na umysły słuchaczy. „Jak, kiedy to zasmuca się miesiąc w obec brzasku dnia nowego— pisze nasz badacz — tak spochmurniał w sobie dowcip stary w obec wschodzącego w całym majestacie swoim głębokiego uczucia wypromienionego misterną formą”.

Nie w uczuciu „pokory”, ale w uczuciu niekłamanego zachwytu wypowiedział stary

Rej swój dwuwiersz, jakby proroctwo téj chwili, gdy już Kochanowski mógł powiedzieć z tą pewnością siebie i z wyrazem szlachetnéj dumy:

I wdarłem się na skałę pięknéj Kaljopy
Gdzie dotychczas nie było śladu polskiéj [stopy.

Grunt do tak stanowczego w literaturze przeobrażenia był zdaniem Faleńskiego przygotowanym. Poważny jakiś nastrój zdawał się unosić w powietrzu. Umarł właśnie wesoły Pszonka, a z nim i ucieleśniona w respublice Babińskiéj satyra wad i ułomności ludzkich. Swawolny Rej ustatkowawszy się pod koniec burzliwego i „warcholskiego" życia, tworzył podtenczas obraz żywota poczciwego człowieka. Sęp nastrajał lutnię do słodkiéj tęsknoty, Klonowicz do poważnéj satyry, Szymanowski do spokojnych sielskich obrazów, Grochowski i obadwaj Rybińscy nucili pobożnie, szukając wzorów w poezji ludowéj. Wszystko to oznaczało zwrot nowy w literaturze, zwrot do uczucia nieujarzmionego receptą klassycznych wymagań i tak zwanego dobrego smaku. Pojęto, że poezja, ów dar Boży nie potrzebuje się naginać do dowolnie przepisanych i wraz z czasem mijających reguł, ale oparta na podstawie uczucia rzeczywistego, zdążać winna do źródła swego— do niebios. Treny zatém, jako odbicie Dawidowych psalmów, których duchem i formą wieszcz Czarnolesia się przejął, stanowią ważny w literaturze przełom, przynajmniéj w dziedzinie liryki i wykazują stanowczą odmianę w pojęciach o jéj zadaniu.

Nie zaraz jednak ważność trenów ocenić umiano. Wykazuje pan Faleński, iż do końca XVIII w. prawie, błąkały się niewymotywowane o ich roli pojęcia, z przyzwyczajenia, raczéj z sympatji dla wieszcza tolerowano je— protestując jednak ostrożnie, po cichu, przeciw opinji jaką sobie w umysłach ludzi głębiéj widzących, mimo obojętności ogółu dla nich, wyjednać zdołały. Przyczynę tak dziwnego faktu, trafnie, z bystrością badaczowi właściwą, tłomaczy Felicjan: „U narodu rycerskiego jakim byliśmy całą duszą, skargi tyczące się rzeczy publicznéj choćby nawet w połączeniu z gorzkiemi prawdami, zawsze znajdowały rozgłośne, zewsząd sympatyczne echo;ale za to tkliwe, choćby najtkliwsze wyrzekania ojca na straty dziecięcia, obijając się o żelazne piersi pokolenia wzrosłego w Zygmuntowskiéj chwale do Batorowskich czynów, brzmieć musiały niestrojnie, i koniecznie się wydawać marném tylko, nie męzkiem kwileniem, nie zbyt godnem uznania. Na to żeby zrozumieć treny, żeby je módz przytulić do serca, musieliśmy sami zmięknąć należycie i dla tego to, nie daléj jak dziś dopiero, zajęły one należne im stanowisko w dziełach naszéj poezji:"

W rzeczy saméj dopiero od Brodzińskiego, zaczyna się epoka trafniejszego pojmowania trenów. Jest on po Januszowskim, drugim z rzędu, żarliwym w ich sprawie adwokatem. Czasy Stanisławowskie nie wyrobiły sobie dokładnego o trenach Janowych pojęcia. Brodziński, w imie dobrego smaku, odważnie ośmielił się przemówić, że treny najczystszą oddychają poezją i zasługują na rzetelne w narodzie uznanie. Januszowski bojaźliwiéj nieco tłomaczy tkliwość ich, boleścią ojca nad utratą najdroższéj swojéj Urszulki. Dwaj ci estetycy wyobrażają sobą dwie epoki potrzeb ducha, z rozmaitém, stosownie do czasów w których żyli, powodzeniem. Ale obaj przygotowali umysły rodaków swoich do sprawiedliwszego cenienia utworów mistrza, tak, że i Hofmanowa mogła powieścią swoją wywołać współczucie w sercach słuchaczy i utorowaną przez poprzedników drogą, dojść do celu jaki sobie zamierzyła.

„Za dni naszych— kończy Faleński— wzięły się za ręce i inne sztuki nadobne, w pomoc sztuce słowa. Oleszczyński, gotuje poecie posąg z głazu; Moniuszko tkliwemi dźwięki starał się dopomódz rozpamiętywaniu zbolałego ojca. Matejko pędzlem probował odtworzyć ostatnie pożegnanie z szczebiotką...."

Taką jest historja utworów wielbionego, śpiewaka trenów. Faleński z uczuciem poety, z badawczością filologa, z bystremi poglądy historyka epoki, z wdziękiem wytwornego pisarza i z systematycznością właściwą człowiekowi, który lat kilka niezmordowanéj pracy poświęcił ukochanemu przez się przedmiotowi— przedstawił nam w dziele swojem jedną tylko stroną talentu Kochanowskiego, ale i ta strona nakształt odłamu kolumny greckiéj, każe się domyślać wspaniałości gmachu, jaki się na niéj opierał.

Rozdział drugi, mniéj szczęśliwą nazwą: „treny jako szkoła naśladowców" zatytułowany, służy już tylko jako uzupełnienie przewodniéj autora myśli. Charakter wpływu trenów i jego koleje są tego rozdziału osnową. Następuje drobiazgowe niemal wyliczenie plagiatów pod względem formy i myśli jakiéj się poeci— przez Faleńskiego płaczebnymi nazwani, jak oto Klonowicz, Wiszniowski i Grochowski, na utworach Kochanowskiego dopuszczali. Elegja późniejsza przesiąkła w zupełności metodą bezwiednie przez Jana z Czarnolesia wytworzoną; nie bez racji też Faleński, to hetmaństwo mistrza w szeregach polskich poetów z naciskiem zaznacza.

Rozdział trzeci stanowi dydaktyczną całego dzieła stronę. Myśl w pierwiastkowych rozdziałach z lekka naszkicowana i przykładami faktycznie w rozdziale drugim popartą, tu stanowczego dostępuje rozwinięcia. Śledzimy

w niéj historję elegji, począwszy od twórcy Ramagany aż do czasów Kochanowskiego, który w chwili natchnienia i łaski *wynalazł* je w sercu swojem, mówiąc słowami Brodzińskiego podniesionemi do znaczenia szczęśliwéj intuicji, przez Faleńskiego.

Końcowy szczególniéj ustęp zasługuje na bliższą uwagę. Zapał i przejęcie się wielkością zadania, przejmują do głębi duszy czytelnika. Wyrazy to przekonywające, pod których brzemieniem najsilniejsze nawet serce ulega. Rozdział ten wykazuje przemożny talent Faleńskiego w szkicowaniu boleści serdecznych. Poeta, psycholog i malarz walczą w nim o lepsze, a każdy z nich zwycięstwo nad uczuciem naszém łatwiejszém tylko czyni.

Ostatnie paragrafy tego rodzaju poświęcone są rozbiorowi psychicznéj strony trenów. W obrazach jaskrawemi naszkicowanych barwami, kreśli autor historję boleści nieszczęsnego ojca, rozbiera wszystkie kolejno szarpiące serce poety uczucia, od rozpaczliwego śmiechu do tęsknego opaniętania się i żałości serdecznéj, a wielkiéj. Obraz to wzruszający i wymowny. Badacz staje się poetą i wspólnie z wieszczem gra silnie na strunach uczucia słuchacza.

Język Faleńskiego jędrny i dosadny nagina się do wszystkich stopniowań, od tkliwości, aż do grzmiącego pathos. Ten ostatni nawet charakter przeważa w dziele Faleńskiego co jednak nie ma nic z przesadą wspólnego.

W ogóle, obok oczytania się Zygmuntowymi pisarzami, których język, układ, zdań i wyrażenia jakoś oryginalnie odtwarza, znać w Faleńskim wielkie przejęcie się stylem Wiktora Hugo. Widoczne to z budowy zdań króciutkich, a wiele wypowiadających i wjaskrawości obrazów zaprawionych lekkim odcieniem ironji. Patetyczność tak wstrętna, jeśli jéj nie umiemy w należytéj utrzymać mierze, w dziele Faleńskiego nie razi, a nawet zjednywa słuchacza. Znać w autorze miłość dla przedmiotu, serdeczność pomieszaną z polotem górnym, wspaniałym. Wszystko splata się w harmonję miłą dla ucha i dla serca.

„Cóż daléj jeszcze będzie?— pyta autor, w przeglądzie prac Kochanowskiego. *Odprawa posłów*. Powiada mistrz, że to „błazeństwo, że to są rzeczy nie wedle uszu naszych, że raczéjby zostać z nim téj robocie mulom na pokarm albo na trąbki do apteki....” Dajże go katu! a toż tragedja co się zowie! taka zupełnie jak to pisali starzy greccy mistrze. Ale nie— nie taka. Co tam w niéj siedzi za duch jakiś osobliwszy; niby pogański, a nie pogański, niby grecki, a nie ze wszystkiem grecki; bo jużciż w tych tam chórach *to trochę głębsza mądrość niż grecka*. Nawet ta Helena coś nie taka jak u Homera, a jednak *bardzo a bardzo* piękna. Powiada Kochanowski, że nie wié jak ta nowość w polskiéj mowie brzmieć będzie. Cudownie brzmi, cudownie! Cóż tam więcéj dasz jeszcze wieszczu? Ha! tą razą to już Treny— Treny....”

W innem znowu miejscu:

„Wreszcie sprzykrzył mu się dwór hałaśliwy, porzucił go i ponurzył się w ciszy swego szlacheckiego dworku. Aż ci z nagła, wylatuje ztamtąd pod nieogarnione nieba psalmistą Pańskim, za pan brat z proroki i zasiada w Syońskim wiecu obok Dawida, któremu arfę z rąk wziąwszy, gra na niéj jakby była jego własna.”

Ostatnie trzy paragrafy, czytają się bez odetchnienia. Obrazy jak w kalejdoskopie zmieniają się za poruszeniem innéj struny uczucia. Autor panuje tu samowładnie nad słuchaczem, porywa go, unosi i wiedzie z sobą w najtajniejsze tajniki duszy Jana. Mnóstwo by naliczyć można było piękności z samego li tylko zestawienia zdań, ale miejsca nam na to nie staje.

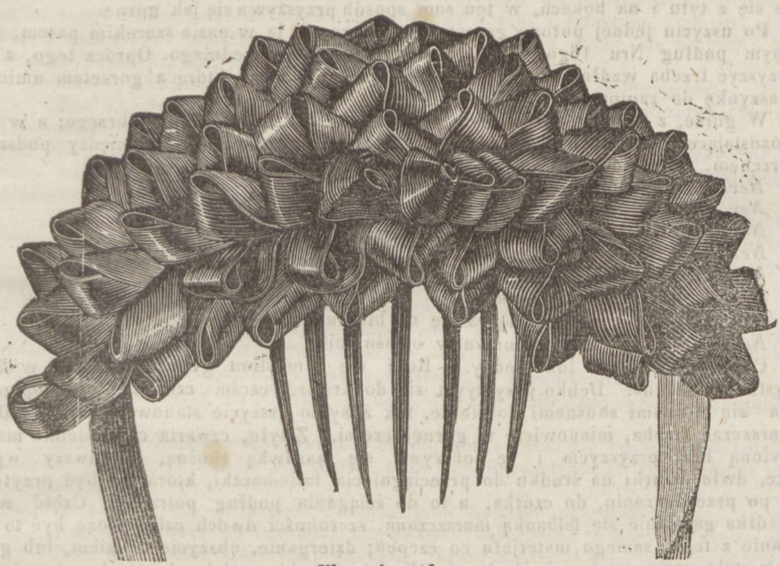
Kończymy z żalem— że tak mało o tyle pięknéj rzeczy, napisać się dało.

Słowa te raczéj, niechaj służą jako zachęta do odczytania studjów Felicjana, a nie jako rozbiór szczegółowy pracy, która chlubne znaleść winna pomieszczenie w wybranych dziełach literatury współczesnéj polskiéj.

Przechodzimy obecnie do drugiego z rzędu dzieła przełożonego wprawdzie, ale przekład to rzadki, językiem tak wytwornym oddany, że go śmiało do ozdób tegoczesnego wydawnictwa policzyć można. P. Ludwik Jenike nie po raz pierwszy już taką usługę literaturze dramatycznéj oddaje. Przekłady jego z Göthego do celniejszych należą. Wstępne słowo obznajmia czytelnika z osnową tragedji „Zriny” Teodora Körnera. Obrona twierdzy Szygietu przez mężnego Zriniego i wiernego Juranicza w obec przemagającéj liczby turków, owa epoka dziejów węgierskich, któréj karty krwią i zgrozą zapełnia olbrzymia postać Solimana II-go, jest głównem tłem, na którem rozwija się akcja tragedji Körnera. Odznaczając się jędrną i bogatą dykcją, potęgą obrazowania, wyrazistością konturów, mimo to nie posiada utwór Körnera tych zalet, któreby go do pierwszorzędnych zaliczyć nakazywały. I dla tego to jedynie przekład Jenikego mógł mu zjednać liczne zwolenników koło. Znamy oryginał niemiecki dobrze, a mimo to wyznajemy szczerze, że dopiero język, jakim tak dzielnie włada zasłużony redaktor Tygodnika Illustrowanego, otworzył nam oczy na liczne piękności, w które oryginał bezspornie obfituje.

*Al. Kr.*

# Dodatek do Zeszytu VIII. Kółka Domowego. 1867.



**Ubranie głowy.**

Ubranie to robi się z aksamitki lub nie zbyt szerokiéj wstążki. Można je przyczepić do grzebienia lub też przypinać dowolnie. Końce, które widzimy na rycinie, spadające po dwóch bokach, wiążą się pod włosami na tyle głowy, na małą kokardę i spadają aż na plecy.

## Objaśnienie tablicy rysunków (strona form).

*Ner. 1* i 2. Ubranie męzkie, dolne, pod spód. Stronę krótszą Nru. 1szego zszywa się za igłą i podszewkuje od litery D do C; stronę zewnętrzną, dłuższą od A do B. W miejscach oznaczonych u dołu gwiazdkami, przyszywa się tasiemki; z tych jedna powinna być znacznie dłuższą od drugiéj, gdyż ta ma służyć do okręcenia nogi. Ponieważ na tablicy znajdują się dwie czwarte części ubrania: jedna przednia, druga tylna, które zszyte z sobą stanowią połowę ubrania, przeto po wykrojeniu drugich odpowiednich części i zszyciu onych, złącza się te dwie uszyte połowy szwem z tyłu od lit. D do E, a z przodu od D do OO. Pasek, oznaczony Nem 2, składający się z dwóch części, kraje się wzdłuż, podwójnie, i te dwie części po uszyciu przyszywają się podług znaków, ukośną stroną do ubrania, które nieco naddać wypadnie, gdyż pasek jest krótszy. Szerszą stronę pasków daje się na przód i opatruje dziurkami i guzikami; z tyłu zaś u węższéj strony robią się dziurki, w które nawleczone tasiemki służą do przyciągnięcia ubrania podług potrzeby. Na szwy przypuszczać trzeba.

*Nera. 3. 4* i *5.* Części składające przód krynoliny.

*Ner. 6.* Część tylna.

*Ner. 7* i *8.* Połowa paska przedniego i tylnego.

*Od Nru. 9. do 16.* Gorset dla młodéj panny. Uprzedza się, że cały gorset kraje się podwójnie, a miejsca w których się części wzdłuż materjału składają są oznaczone. Przy tem do każdéj części przypuszcza się na szerokie zaszycie. Oprócz tego, z tyłu wzdłuż, przypuścić trzeba 4 centim: materjału na zaszewki podwójne do zasunięcia dwóch fiszbinów po każdéj stronie. Oprócz tych dwóch fiszbinów idących na brzegach wzdłuż, które o tyle od siebie oddalone być powinny, żeby pomiędzy niemi mosiężne dziurki wybić można, każda część tylna zaopatrzona jest jeszcze dwoma fiszbinami ukośno idącemi, na które miejsca są na formie oznaczone; te powinny być podszyte tasiemką. Przednie części mają tylko po jednym fiszbinie ukośno osadzonym.

Kliniki wszywają się w zacięciach w ten sposób, żeby wchodziły między wierzch a podszewkę gorsetu a nie zaś obejmowały go. Litery wskazują miejsca gdzie jakie kliniki przyszywać się stębnówką mają; po lewéj stronie podbrębia się zwyczajnym ściegiem. W kątach kliników, trzeba dla mocy obdziergać grubym jedwabiem. Kliniki znajdujące się z tyłu i na bokach, w ten sam sposób przyszywa się jak górne.

Po uszyciu jednéj połowy gorseta, podszywa się ją w pasie szerokim pasem, przykrojonym podług Nru 16go, od fiszbina tylnego do przedniego. Oprócz tego, z przodu przyszyć trzeba wzdłuż szeroką, mocną taśmę, pomiędzy którą a gorsetem umieszcza się maszynkę do zapinania.

W górze, z przodu fiszbiny nie powinny dochodzić do samego brzęgu; a w miejscu pozostającem, naszywa się tuż obok siebie trzy sznureczki pomiędzy podszewką a wierzchem. Brzeg dolny i górny z tyłu obiąć tasiemką przystębnowaną.

*Ner. 9.* Przednia część gorsetu.
*Ner. 10.* Tylna część.
*Ner. 11.* Klinik pierwszy na piersiach.
*Ner. 12.* Klinik drugi na piersiach.
*Ner. 13.* Klinik tylny
*Ner. 14.* Klinik na biodra.
*Ner. 15.* Część przyszywająca się na biodra podług liter.
*Ner. 16.* Pas o którym mowa w objaśnieniu.

Czepeczek ranny lub nocny. — Robi się z muslinu gładkiego, czy w deseń, z batystu czy płótna. Denko przyszywa się do krótszéj części czółka, które poprzednio zszywa się stronami skośnemi do siebie, tak żeby to zszycie stanowiło ząbek. Denko nadmarszczać trzeba, mianowicie w górnéj części. Z tyłu, czwarta część denka ma być zostawioną bez przyszycia i tę obszywa się zasuwką skośną, zrobiwszy wpierw w tejże, dwie dziurki na środku do przeciągnięcia tasiemeczki, która ma być przytwierdzoną po przewleczeniu, do czółka, a to do ściągania podług potrzeby. Część wystającą czółka garniruje się falbanką marszczoną, szerokości dwóch cali. Może być to garnirowanie z tegoż samego materjału co czepek; dzierganie, obszycie tulikiem, lub gładki obrąbek stębnowany może je zakończać. Końce szerokie pod brodą, trzeba obszyć takąż falbanką, tylko znacznie węższą.

*Ner. 17* i *18.* Połowa denka i połowa czółka.

**Paltot Nero** robi się z aksamitu, koloru wedle upodobania, Jest zamknięty z przodu, z tyłu zaś luźno wcięty, Klapa idąca od góry i naśladująca kieszeń, obszywa się na brzegu grubym, jedwabnym sznurem, ozdobiona zaś jest pięknym haftem, którego deseń umieszczony jest na tablicy rysunków pod Nmi 1ym 2em 3cim. Haft ten wykonywa się atłaskowym długim ściegiem, jedwabiem grubym i paciorkami drobnemi. Dół zaś klapy przyozdabia się jedwabną gęstą frendzlą z końcami dżetowemi, Pod klapą, niżéj zacięcia pod piersiami, umieszczona jest mała kieszeń którą klapa pokrywa. Deseniem haftowanym przyozdabia się także paltot z tyłu, zacząwszy od guzików niżéj pasa umieszczonych, aż do dołu; brzeg tylnych klap także obszywa się sznurem grubym, jedwabnym. Guziki duże użyć trzeba.

*Ner. 19.* Przednia część paltotu.
*Ner. 20.* Tylna część.
*Ner. 21.* Tylny bok.
*Ner. 22.* Okrągła kieszeń.
*Ner. 23.* Klapa na kieszeni.
*Ner. 24.* Zwierzchnia część rękawa.
*Ner. 25.* Spodnia część rękawa.
*Ner. 26.* Kołnierza połowa.

*Ner. 27* Przód kaftana Dandy. Paltot ten ma kołnierzyk prosty, stojący na $2^{1}/_{2}$ cent: szeroki. Kieszenie dają się takie jak klapy od paltotu *Nero* pod Nem 23cim położone. Ozdoby ze wstążeczki naszywanéj paciorkami.

*Ner. 28.* Tył.
*Ner. 29.* Górna część rękawa.
*Ner. 30.* Spodnia część rękawa.

## (Strona deseni).

Nra 1, 2, 3 i 4. Desenie do haftu na paltot *Nero*, znajdujący się na stronnicy odwrotnéj pod Nrami od 19 do 26; ścieg atłaskowy, jedwabiem grubym i paciorkami.

Ner 5. Litery W. B. atłaskiem, sznureczkiem i ściegiem kanonierskim.

Ner 6. Czepeczek ranny lub nocny, którego forma na odwrotnéj stronie.

Ner 7. Wszywka atłaskiem i dziurkami.

Ner 8. Imiona atłaskiem i punktami atłaskowemi.

Ner 10. Obszycie ozdobne i łatwe do kaftanów lub innych przedmiotów. Robi się jak następuje: odrysować na sztywnym papierze deseń, i sutaszem grubym, lub sznureczkiem okrągłym kamelorowym go obwieść; po czem łączy się arabeski za pomocą paciorek pojedynczych, potrójne zaś służą tylko do ozdoby.

Ner 11. Kołnierzyk atłaskiem, dziurkami i rzadkiem dzierganiem.

Ner 12. Szlaczek na kolorowym lub białym wełnianym materjale, robi się jedwabiem, ściegiem ościowym.

Ner. 13. Znak na prześcieradło do kołder lub środek poszewki, robi się ściegiem ościowym; tymże ściegiem robione są ozdoby otaczające znak. Można ten haft kolorową bawełną wykonać.

Ner. 14. Litery G E do poszewki służyć mogące, lecz nie na rogu umieszczać je trzeba, tylko nad obrębem w środku; robią się atłaskiem i sznureczkiem atłaskowym.

Ner 15. Szlak na wełnianym materjale, jedwabiem, ściegiem ościowym. Może służyć na szlak do spódniczki pod spód, lub do sukiennéj serwety do przykrycia stołu, do któréj na środek zastosować można deseń pod Nem 13. odrzuciwszy cyfrę.

Ner 16. Szlak na spódniczkę białą: robi się dziurkami, wałeczkiem grubym podwójnym. Kwiatki albo grubym atłaskiem, albo cienkim sznureczkiem i żyłki w listkach atłaskiem; dziurki w kwiatkach. grubym atłaskiem obrabiać trzeba.

Ner. 17. Brzeg do chustki do nosa lub do kaftanika: grube dzierganie, atłasek i dziurki.

Ner. 18. Koronka szydełkiem robiona: kółka robią się osobno i sczepiają z sobą, po czem. robi się drabinka zwyczajna i od niéj prowadzonemi łańcuszkami przyczepia się kółeczka.

Nera. 19 i 20. Atłaskiem grubym, albo cienkim sznureczkiem.

Ner. 21. Brzeg do langietki lub chustki dzierganie i dziurki grubo obszywane.

Ner. 22. Litera atłaskiem, punktami, sznureczkiem i ściegiem kanonierskim.

Ner. 23. Mankiet od kołnierzyka oznaczonego Nem. 11ym.

Ner. 24. Mankiet haftowany ściegiem ościowym i sznureczkiem.

Ner. 25. Imie atłaskiem.

Ner. 26. Deseń na szarfę do sukni wełnianéj, którą się robi z tego samego materjału co suknia. Deseń ten wyszywa się sutaszem, perełkami, jedwabiem, a ząbki na brzegach wycinane żelazkiem, jakiego rękawicznicy używają. Palma cała jedwabiem i ściegiem ościowym. Pięknie się wydaje ten haft jedwabiem czarnym na fularze surowym (écru).

Ner. 27. Imie z ozdobą. Tak imie jak ozdoba atłaskiem.

Ner. 28. Pelerynka. Robi się z muślinu lub tiulu pokrajanego w pasy, szerokości ćwierci łokcia, z wszywek i falbanki.

Ner. 29. Ozdoba szmuklerska do przybrania okryć z tyłu a mianowicie burnusa *beduiną* zwanego. Deseń rysuje się na cienkiéj tekturze i najwpierw kwadrat środkowy nafastrygować i uszyć trzeba mocno, łącząc sznureczki czy sutasz z sobą; na tym kwadracie, przymocować medaljonik jakiego dostanie u p. Drewsa, Brünera lub Lesera i w innych galenteryjnych sklepach. Następnie nafastrygować trzeba deseń ażurowy, otaczający kwadrat, także sznureczkiem lub sutaszem i ten przymocować do kwadratu; potem paciorki naszywać jak rycina wskazuje i w końcu bąbelki przyczepiać zrobiwszy je wpierw ze szklannego owsa i z pacioreczek. (D. n.)

---

# O UBIORACH.

---

Nie tylko u nas ale i w Paryżu narzekają na opóźnienie się wiosny, ztąd też i moda. niemogła rozwinąć nowych pomysłów swoich, zimowe bowiem ubrania są jeszcze mimo kwietnia stosowne. Suknia tak zwana krótka, stanowczo się jednak utrzyma na wizyty ranne i przechadzkę. Lecz krótkość jéj nie jest taka, aby się nie uszargała na błocie, lubo daje widzieć nogę, ale dochodzi do ziemi; ma tylko tę zaletę, że nie zamiata ulicy. Wspominaliśmy już kilka razy, że się składa z dwóch spódnic. W niektó-

rych magazynach, pomimo, że falbana z fałdami zaprasowanemi na jedną stronę, jest powszechnie przyjęta, usiłują zachować falbanki marszczone, które przy lekkich szczególnie sukniach ładnie wyglądają. Trzy takie falbanki u dolnéj spódnicy bardzo ją stroją, do tego dać można spódnicę zwierzchnią, wycinaną w wielkie zęby, obszyte riuszą z jedwabnego materjału. Dają też te zęby czy łuki w taki sposób, że szew spódnicy przypada na każde ich połączenie, i ten szew pokrywa pliska stosownego koloru. Na dopełnienie gorsownych staników dają bardzo często nie tylko szmizetki muślinowe lub koronkowe, ale kolorowe, jedwabne koszulki. Szczególniéj używa się to do rękawów roztwartych, długich, które znów wchodzą w używanie. Z pod takich rękawów widoczny prawie już od pachy, pokazuje się drugi rękaw obcisły, biały lub kolorowy, według tego jaka jest szmizetka. Dają także często takiego samego koloru dolną spódnicę. I tak np: widzieliśmy suknię popielatą żyłkowaną czarno, jak marmur, baz najmniejszych fałdów, naszytą na szwach pasmanterją czarną, haftowaną dżetowemi perłami; suknia ta krótka pozwalała widzieć dłuższą spódnicę niebieską, dzierganą w zęby. Stanika właściwie nie było; był to raczéj gorsecik ukrojony razem ze spódnicą, dochodził bowiem tylko do pach, podnosząc się z tyłu i z przodu w trzy zęby jak paski szwajcarskie. Zęby te obszyte były taką pasmanterją jak szwy spódnicy, Do tego kładła się bluzka także niebieska, jak spódnica, z lekkiego fularu, naszyta pasmanterją czarną i zapięta na dżetowe guziki. Dodany był do wyjścia paltocik krótki, puszczony, stosownie obszyty pasmanterją i frendzlą z czarnego dżetu. Druga suknia czarna jedwabna, była ozdobiona pliskami atłasowemi plecionemi w warkocz. Jeden taki warkocz szerszy otaczał całą spódnicę powłóczystą, cztery zaś węższe szły po bokach, w górę dwoma linjami. Gorsecik obszyty w ząb frendzlą poniżéj pasa, takimże wąskim atłasowym warkoczem był u góry obszyty. Do tego bluzka z cienkiego muślinu, spięta na czarne guziki, naszywana była atłasowemi pliskami w taki sposób, że one od gorsecika rozchodząc się w wachlarz, niedochodzący do szyi, wyglądały, że przytrzymują gorsecik, niby przytwierdzone do niego w promienie. Nie potrzebujemy dodawać że pod przezroczystym stanikiem pod szyję, był drugi perkalowy wycięty. U ręki, na szyi i na szwach ramion, znajdowało się stosowne wygarnirowanie z czarnego atłasu, Inna suknia najskromniejsza, była z materjału wełnianego, zwanego *mousse de mer*, dla tego że ciemniejszy kolor, plączący się jakby w węzełki na tle odmiennym przypomina mech. Spódnica dolna miała jedną plissę jedwabną koloru szafirowego, który był właśnie ciemniejszym, z dwóch składających materjał sukni. Zwierzchnia spódnica w szeroko rozstawione lecz nie zbyt wcięte zęby spiczaste, obszyta była takąż samą pliską. Trzeci rzęd plisek pojawiał się na krótkim paletocie, także w spiczaste zęby wykrojonym. Chociaż przeważnie robią paletoty puszczone, jednak i wcięte do stanu, szczególniéj na młodych osobach widzieć się dają. Niewolniczość bowiem zdaja się być stanowczo z mody wyrzucona.

Okrycia wiosenne są krótkie, wyjąwszy burnusów czyli rotond o których wspominaliśmy. Wyrabiają rodzaje kaftanów, wyciętych na dole z tyłu i z przodu w sposób przypominający gotyckie okna, z rękawami, które je przechodzą w długości.

Chcąc powiedzieć coś pewnego o kapeluszach wiosennych, wolimy to odłożyć do przyszłego miesiąca.

---